



Zdrowy, szczęśliwy dzieciak nie zaprzęta sobie głowy umieraniem, jest nieśmiertelny, może wszystko. To niesamowicie piękne. I tak szybko mija. Oddałbym każde osiągnięcie, wszystkie doktoraty, wyróżnienia, żeby dalej żyć, siedzieć sobie cicho, a śmierć nigdy by nie nadeszła. To tylko złudne marzenie, ale nadzieja była. Sam nie wiem skąd. Śmierć siedziała we mnie i czekała. Dała o sobie znać niedawno. Wstała i zgniłym paluchem pstryknęła w wątrobę. Pomyślałem, że nic się nie stanie, przecież usiadła z powrotem. Nadzieja jednak potrafi oszukać każdego jak dzieciaka. Śmierć zwyczajnie dała do zrozumienia, że lada dzień się o mnie upomni. Siedziała i czekała. Ależ ma lodowate łapska. Dlaczego musiała wstać akurat w ubikacji. Czekala aż mi się zachce? Strasznie to upokarzające. Już mi odebrała siły, nie sięgnę nawet papieru, żeby się podetrzeć. Co za wstyd. Wnuczka jest w domu, tak mnie znajdzie biedna. Tak zapamięta dziadka? Muszę się unieść, wciągnąć portki, tylko tyle, proszę... Uff, to na nic, zołza już nie puści. Ale mogło być gorzej, mogłem umierać na oczach dziewczyny. Och, zaczyna się. Przypuszczałem, że agonia jest dojmująco smutna, ale że taka wstydliva? Poczwarą dusi. I boli strasznie. Czemu wykręca nogi i ręce? Skręci mnie jak zwój? Nie chcę na to patrzeć, zamknę oczy.

(droubble)